DOM
i Szkoła Powszechna

Nr. 6

ROK I. CZERWIEC 1939

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ Nr 6:

TREŚĆ N-RU 6 MIES. „RODZINA I DZIECKO"

NR 6. CZERWIEC ROK I.

Dom i Szkoła Powszechna

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

NA ODCINKU POGOTOWIA SPOŁECZNEGO KOBIET.

Osobliwa chwila, jaką przeżywa naród polski, nakłada na wszystkich obywateli specjalne obowiązki. Dziś nikt nie może pozostać bezczynny, niezorganizowany. Dziś Państwo nasze mieć musi nie tylko silną, dobrze uzbrojoną i wyposażoną, waleczną armię, ale i społeczeństwo, stojące za tą armią zwarcie i świadomie, przygotowane na każdą ewentualność, zdolne do każdej ofiary. Dobra organizacja życia społeczeństwa poza frontem, wykluczająca chaos i panikę, pozwala uniknąć niepotrzebnych strat i katostrof, jest jednym z warunków zwycięstwa.

Wojna współczesna grozi całemu krajowi, front wojenny może być wszędzie. I dlatego całe społeczeństwo musi być do wojny przygotowane i odpowiednio przeszkolone. A przede wszystkim musi istnieć gotowy zastęp kobiet, odpowiednio przygotowanych fachowo, mogących zastąpić mężczyzn powołanych pod broń, tak aby urzędy państwowe, fabryki, gospodarstwa rolne itp. mogły w czasie wojny należycie pracować.

Organizacja Przysposobienia Wojskowego Kobiet prowadzi przeszkolenie kobiet do ich roli na wypadek wojny, do roli Opiekunek Domowych.

Opiekunki Domowe mają utrzymać ład i spokój w kraju, w swoim otoczeniu, mają ochraniać i organizować życie osób cywilnych poza frontem. Opiekunka Domowa na terenie powierzonym swojej opiece (dom, blok mieszkalny, obwód, komisariat) musi zorganizować życie i przystosować je do warunków wojennych.

Przeszkolenie na Opiekunki Domowe obejmuje najkonieczniejszy zapas wiadomości, potrzebny do skutecznego niesienia pierwszej pomocy zagrożonej ludności. P i e r w s z e j pomocy, bo Opiekunka Domowa jest raczej organizatorką życia powierzonej jej pieczy ludności i pośredniczką między tą ludnością a władzami i fachowcami, niż wyszkoloną specjalistką we wszystkich dziedzinach życia.

Przeszkolenie na Opiekunki Domowe obejmuje najkonieczniejsze wiadomości z zakresu h i g i e n y i walki z epidemią, potrzebne do skutecznego zwalczania epidemicznych chorób, nieodłącznie towarzyszących wszelkiej wojnie. Obejmuje też podstawowe wiadomości z dziedziny r a t o w n i c t w a s a n i t a r n e g o, które pozwolą Opiekunce Domowej służyć pierwszą pomocą, zanim nadejdzie pomoc fachowo-lekarska.

Kurs przeszkoleniowy Opiekunek Domowych zawiera też zasadnicze

wiadomości z obrony przeciwlotniczo-gazowej, co pozwoli Opiekunce Domowej spółdziałać z odpowiednimi Komendantami O. P. L. Wiadomości z życia gospodarczego ułatwią Opiekunce Domowej zorganizowanie zaopatrzenia w żywność i ochronę tej żywności na powierzonej sobie placówce. Do najważniejszych należą też wiadomości z zakresu opieki nad dzieckiem i to nie tylko opieki nad jego życiem i zdrowiem fizycznym, ale i nad jego przeżyciami psychicznymi, duchowymi, związanymi z przejawami zjawisk wojny.

Opiekunki Domowe uczą się też na kursach obchodzenia się z bronią w zakresie koniecznym dla samoobrony, wreszcie otrzymują dokładne wiadomości o organizacji życia wojennego, o instytucjach i urządzeniach, od których będą mogły otrzymać pomoc we wszelkich trudnościach, bo niewątpliwie z różnymi trudnościami można się spotkać w skomplikowanych i ciężkich warunkach zmienionego przez wojnę życia.

Kurs dla Opiekunek Domowych obejmuje ok. 30 godzin. Zgłaszające się na kursy kobiety okazują pełne zrozumienie dla sprawy i z wielkim zapałem przygotowują się do roli ofiarnych opiekunek.

Kursy organizują stowarzyszenia kobiece zrzeszone w Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet, jak również sama Sekcja Dom i Dziecko w Wydziale Pogotowia Społecznego Organizacji P. W. K. Pierwszy tysiąc kobiet zastał już przeszkolony na terenie Warszawy. W chwili obecnej czynnych jest szereg kursów, w różnych punktach miasta.

Komunikaty podadzą w prasie miejsca i terminy zapisów na kursy, które będą uruchomione później, zarówno na terenie Warszawy jak i innych ośrodków kraju.

Janina Ezupowiczowa.

LUŹNE UWAGI O WYPOCZYNKU WAKACYJNYM DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Wyjazd z dziećmi po całorocznej pracy szkolnej jest dla rodziców zagadnieniem wielkiej wagi. Zrozumienie konieczności wypoczynku po wytężonej pracy szkolnej, bez względu na jej ostateczny wynik, jest już dziś rzeczą tak bezsporną, że trudno znaleźć przeciwników jak i trudnoby było znaleźć ludzi dla tej sprawy obojętnych. To przeświadczenie konieczności racjonalnego wypoczynku dla dziecka jest rzeczą tak powszechną, że nawet najbiedniejsi rodzice starają się wysłać swe dzieci na kolonie czy półkolonie, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, że w ten sposób zostaną wyrównane ujemne wpływy na organizm dziecka, spowodowane pracą w warunkach nie zawsze korzystnych.

W okresie wielkiego zapotrzebowania ruchu przez organizm, dziecko zostaje skierowane do szkoły, która ogranicza w znacznym stopniu ten wro-

dzony i konieczny dla życia pęd do ruchu. Przebywanie w zamkniętej przestrzeni w czasie właściwego dnia słonecznego musi mieć swój ujemny wpływ na kształtujący się organizm. Przebywanie poza szkołą w mieszkaniach wielkomiejskich wywiera wpływ bezwarunkowo bardziej jeszcze ujemny, niż przebywanie w szkole, gdzie w każdym razie panuje systematyczny rozkład pracy z przerwami. Wielkie skupienie dziatwy z różnych środowisk naraża dzieci na liczne schorzenia zakaźne, które również mają olbrzymi wpływ na zdrowie dziecka, a pośrednio i na jego zdolności tak do pracy umysłowej jak i fizycznej.

Uwzględniając choćby tylko wyżej wymienione czynniki musimy sobie zadać pytanie, czy można im przeciwdziałać i na czym to przeciwdziałanie powinno polegać.

W warunkach normalnych organizm reaguje na cały szereg bodźców z otoczenia, które w sposób decydujący wpływają na jego tempo rozwojowe. Do bodźców tych zaliczyć musimy: powietrze, słońce, wodę, ruch i ostatecznie odżywianie. Nawet pobieżne spojrzenie na wymienione czynniki stawia nam jasno przed oczami, że nie wszystkie bodźce mogą w pełni oddziaływać na dziecko w czasie roku szkolnego. Przy zastanawianiu się nad wyjazdem z dziećmi musimy dokładnie rozważyć, który z tych bodźców jest dla dzieci najbardziej potrzebny, czyli którego z nich brak — organizm najsilniej odczuwał w okresie zajęć szkolnych.

Powietrze jest nam potrzebne do oddychania, ale powietrze to musi być — jak mówimy — czyste. Gdy jest ono zanieczyszczone mechanicznie pyłem czy chemicznie wyziewami fabrycznymi, wówczas wpływa ujemnie na płuca, a jedynym wyjściem jest dostarczenie płucom powietrza zawierającego odpowiednią ilość najbardziej wartościowego czynnika, jakim jest tlen. Miasta nie mają nigdy tego czystego powietrza w dostatecznej ilości. Mieszkania przepełnione — jak to ma miejsce u nas — nie gwarantują również dobrego powietrza. Należy więc w okresie wakacji szkolnych zapewnić dzieciom świeże powietrze.

Słońce, którego w naszym klimacie mamy tak niewiele, jest potężnym bodźcem dla organizmu i to szczególnie w okresie wzrostu. Przebywanie w zamkniętych przestrzeniach, gdzie słońce nie dociera, naraża organizm ludzki na cały szereg schorzeń, których typowym przedstawicielem jest krzywica, czyli t. zw. angielska choroba. Nie znaczy to jednak, ażeby długotrwałe przebywanie na słońcu było dla organizmu pożyteczne i nieszkodliwe. Zbyt intensywne nasłonecznianie dziecka może narazić je na ciężkie schorzenia lub nawet śmierć. Dlatego też trzeba naświetlać dziecko stopniowo.

Woda łącznie ze słońcem i powietrzem jest również wybitnym bodźcem kształtującym organizm. Wiemy jak życie nasze jest ściśle związane z działaniem wody. Stanowi ona w znacznym stopniu główny składnik naszych środków spożywczych tak pochodzenia roślinnego jak i zwierzęce-

go. Służy nam do kąpieli, odgrywa wielką rolę przy hartowaniu i zwiększaniu odporności ustroju na działanie ujemnych bodźców.

Ruch zaś związany jest ściśle z życiem. Brak ruchu bowiem stwierdza zawsze niezdolność ustroju do życia względnie śmierć. Organizm rozwijający się — jak to obserwujemy u dzieci — domaga się tego bodźca i zdajemy sobie z tego sprawę, starając się nie ograniczać wrodzonego pędu dzieci do ruchu już od samego urodzenia. Ograniczenie bodźca ruchu może wpłynąć ujemnie na rozwój tak fizyczny jak i psychiczny dziecka.

Racjonalne odżywianie w czasach dzisiejszych znajduje już wszędzie zrozumienie, o czym świadczy także akcja dożywiania, prowadzona z tak zbawiennym dla dzieci skutkiem na terenie szkolnym.

Należy pamiętać, że w ogóle przyzwyczajanie do bodźców musi odbywać się tym ostrożniej, im dziecko jest delikatniejsze i im mniej dotychczas bodźce te na dziecko działały. Odnosi się to w równej mierze do słońca, wody, pożywienia, ruchu i nawet powietrza.

Obecnie, po przypomnieniu sobie w ogólnych zarysach pewnych koniecznych podstaw dla naszych rozważań, możemy krótko wyrazić się, że wypoczynek dziecka w okresie wakacji wymaga zmłany warunków, wśród których przebywało dziecko w roku szkolnym, na warunki lepsze, a więc uwzględniające w sposób należyty wyżej podane czynniki.

Nie ulega wątpliwości, rodzice jednogłośnie zgadzają się, że wyjazd na wakacje wymaga przeniesienia się z dziećmi na wieś, gdzie dzieci w zmienionych warunkach bytowania mają możność choć częściowo powetować sobie ujemny wpływ przebywania w mieście i pracy umysłowej w nie zawsze korzystnych warunkach. Wyjazd na wieś połączony bywa zazwyczaj ze zmianą warunków na bardziej prymitywne, co w tym wypadku nie zawsze odpowiada starszym — i to musimy specjalnie podkreślić — ale dla dzieci będzie stanowić nie tylko pewną miłą inowację, ale będzie miało poza tym znaczenie wychowawcze i hartujące. Znalezienie się dziecka w warunkach zmienionych i nawet prymitywniejszych będzie poważnym bodźcem wychowawczym i zmusi dziecko w krótszym lub dłuższym czasie do przystosowania się do tych nowych warunków. Pozostawienie dziecku wtedy możliwie wielkiej swobody ruchu, nie hamowanie jego potrzeby zbadania wszystkiego, co nowe w otoczeniu, wpływa może niepostrzeżenie dla nas, ale pewnie — na jego wyrobienie życiowe.

Wypowiedzenie tych kilku luźnych uwag jakkolwiek nie wyczerpuje zagadnienia racjonalnego odpoczynku wakacyjnego, to jednak powinno nasunąć pewne refleksje, które przyniosą korzyści dzieciom. Przecież wyjazd na wakacje z dziećmi zależy od tylu okoliczności, szczególnie w czasach obecnych. Pragnę na zakończenie jeszcze podkreślić rzecz niezmiernej wagi, mianowicie — niewysyłanie dziecka na odpoczynek letni względnie zaniechanie obiecanego często już wyjazdu dalszego po złym wyniku ocen

szkolnych. Poza krzywdą moralną dziecku odbiera się w ten sposób możność zaczerpnięcia sił do nowej, często jeszcze bardziej wyczerpującej go pracy po wakacjach.

Dr med. Aleksy Sałamańczuk.

KILKA UWAG O KOLONIACH I PÓŁKOLONIACH.

Co zrobić, gdy warunki materialne nie pozwalają rodzicom na wspólny z dziećmi wyjazd na letnisko? Nie ma na to i nie poradzi. A dzieci powinny jechać koniecznie, bardzo chcą i lekarz szkolny radzi stanowczo. Zdawałoby się, że wprost cudownym rozwiązaniem sprawy są kolonie letnie lub w ostateczności półkolonie. Czemu jednak tak wiele rodziców czuje lęk przed takim zorganizowaniem dziecku lata i jeżeli nawet zdecyduje się posłać dzieci na kolonie, to z wielką rezygnacją, jakby czyniąc ogromnie rzecz śmiałą i ryzykowną. Obawiam się, że płynie to po prostu z braku rozumienia celu i wpływu kolonii na dziecko. „Dziecku tam będzie źle w takiej masie dzieci", „Ano, tyle, że pojedzie, ale już mu tak nie będzie jak w domu", wzdychają matki najzupełniej przekonane o słuszności swych sądów i rozgoryczone, że: „to nie to, co dla zamożnego — pensjonaty i wyjazdy z całą rodziną, to dla biedoty". A słysząc takie obawy i żale chciałoby się wziąć taką mamę za ramię, potrząsnąć energicznie i powiedzieć: pani kochana, to pani się tak zdaje, ale dla dziecka taki wyjazd jest często więcej wart, niż jak pani mówi „zamożne" wyjazdy właśnie tam, gdzie dziecko jest w towarzystwie raczej tylko osób starszych, w atmosferze spraw ludzi dorosłych, nie zawsze pod właściwą opieką i wpływem. Przeważnie nawet kuchnia nie jest przystosowana dla dziecka, tylko dostaje to, co dorośli, a więc często potrawy nieodpowiednie dla jego organizmu.

Tymczasem zarówno kolonie, jak i półkolonie są stworzone specjalnie dla dzieci, dlatego organizacja ich jest podporządkowana całkowicie dobru i jak największej korzyści dziecka. Korzyści dzieci osiągnięte przez pobyt na koloniach są dwojakiego rodzaju: a więc korzyści zdrowotne i korzyści wychowawcze. Jedne i drugie mają na celu dopomożenie rodzinie, która nie chce lub nie może wypełnić swych obowiązków wobec dziecka.

W Polsce mamy dwa typy organizowania letniego wypoczynku dzieci. Są to kolonie i półkolonie. Kolonie prócz tego dzielą się na wypoczynkowe i lecznicze. Kolonie lecznicze mają za zadanie dać powierzonym im dzieciom specjalne warunki klimatyczne i leczenie, którego rodzina nie jest w stanie im zapewnić. Kolonie wypoczynkowe, przeznaczone dla dzieci zdrowych, mają im dostarczyć racjonalnego wypoczynku pod fachowym kierunkiem wychowawczym specjalistów. Wypoczynek nie jest bynajmniej ważniejszym celem niż uzupełnienie wychowania, dlatego na koloniach tak wielką wagę przywiązuje się do kulturalnego sposobu bycia dzieci i przy wyborze wychowawców kolonijnych osobom kandydatów sta-

wia się bardzo wysokie wymagania moralne. Wychowawca kolonijny jest stale z dziećmi, obserwuje je, ale również sam jest obserwowany i naśladowany — oczywiście zarówno w złym jak i w dobrym. Dlatego na stanowisku tym może pracować z korzyścią dla dzieci tylko jednostka do głębi moralna i kulturalna. Praca takiej osoby daje pożądane wyniki nie tylko w czasie bepośredniego oddziaływania na dzieci, ale również bardzo silnie wpływa na dalszy ich rozwój psychiczny. Wpływ ten wykracza daleko poza czas spędzony na kolonii i jest często momentem zwrotnym w życiu dziecka, które z rozmaitych względów pozbawione kierunku wychowawczego, nagle znalazło się w atmosferze kultury i karności nie tylko zewnętrznej, i zwolna nasiąkło jej treścią i nawykami.

Półkolonie letnie mają cel oczywiście ten sam, co i kolonie, ale ze względu na to, że nie ogarniają opieką dziecka przez cały czas, lecz jedynie w dzień, mają trudniejsze zadanie. Na dzień dziecko wyrwane ze swego codziennego otoczenia, z szarzyzny i duchoty ciasnych mieszkań, wraca tam znowu na noc i wpływ właśnie tego codziennego otoczenia może zniszczyć lub zmniejszyć wpływ pracy wychowawcy półkolonijnego. Tak być może, ale nie musi. Nie zapominajmy, że półkolonia ma jeden bardzo mocny środek wychowawczy działający bardzo szeroko, a którego nie ma kolonia, mianowicie stały kontakt z opieką domową dziecka. A więc wpływy się krzyżują. Mocny, moralny wpływ idący od kolonii, na której rodzice wiedzą, że dziecko czuje się doskonale, nie może pozostać bez rezultatu. Między półkolonią a środowiskiem dziecka powstaje więź trwała i głęboka, która dla dziecka jest bezcenna, bo ma na celu wyłącznie j e g o d o b r o.

E. L.

O NIEDOCENIANYM WROGU.

W dobie powszechnej naszej gotowości dla służby Ojczyźnie jesteśmy spokojni i opanowani. Armia — nasza duma wzbudza podziw i zazdrość obcych, postawa społeczeństwa jest poważna i godna. Na każdym odcinku wre praca nad umacnianiem owej gotowości, nad zapewnieniem w razie, gdyby groźne chmury nie rozeszły się jednak, możliwie najlepszych warunków wojsku i ludności cywilnej.

Ale jest jeden wróg ukryty wśród nas, wróg który tylko czyha, aby warunki sprzyjające umożliwiły mu jego śmiercionośne zadanie. Tym wrogiem są choroby zakaźne. Wszyscy wiemy, że wróg to nie mniej groźny niż tysiące wojsk nieprzyjacielskich, wróg, który w czasie wszystkich wojen zbierał obfite żniwo śmierci i o którym ci, co przeszli ostatnią wojnę, wiele smutnego powiedzieć mogą.

Jedną z groźniejszych chorób zakaźnych, której my w Polsce specjalnie obawiać się musimy, bo i w czasie pokoju boleśnie daje się nam we znaki, jest t y f u s p l a m i s t y. Tyfus plamisty przenosi się przez

wszy. Wszy wysysają krew ludzi chorych wraz ze znajdującymi się w niej zarazkami, a następnie przy ukąszeniu człowieka zdrowego jakby wszczepiają do jego krwi przeniesione zarazki. W Polsce wypadków tyfusu plamistego mamy niestety bardzo dużo, niektóre jednak województwa (poleskie, wileńskie, nowogródzkie) ujawniają pod tym względem specjalnie groźny stan. Czemu? Bo te ziemie zamieszkuje ludność uboższa, mniej oświecona i **nie przyzwyczajona** do czystości. Właśnie podkreślam, że nie przyzwyczajona, bo bieda nigdy nie może całkowicie usprawiedliwić brudu, może co najwyżej go ułatwiać, o ile nie ma dość dużo starania i dobrej woli ze strony ludności, aby go zwalczać i do pojawienia się nie dopuszczać. A gdzie brudno i ciasno, tam łatwo o wszy i o ułatwioną dla nich wędrówkę z człowieka na człowieka. Tyfus plamisty w razie wojny musi zebrać u nas swoje obfite żniwo, bo przecież nie jest rzeczą możliwą, aby wojsko nie zetknęło się z ludnością cywilną, a ludność zawszona i chora może stać się dla wojska źródłem groźnych epidemii. Wtedy zaradzić złu byłoby bardzo ciężko, często prawie że niemożliwe. Toteż teraz, w czasie pokoju musimy zacząć wojnę z tym ukrytym wśród nas wrogiem — tyfusem, a właściwie z jego potężnym sprzymierzeńcem i pośrednikiem — wszą.

Zawszenie w Polsce jest bardzo duże. W szkołach nie ma chyba klasy, w którejby wszystkie głowy dzieci były czyste. Nauczyciel często wiele musi się napracować, nim doprowadzi do odwszenia takich głów i wiele znieść przykrości ze strony rodziców, którzy nie chcą zrozumieć, że jako wychowawca musi zwracać uwagę na wygląd, czystość a co za tym idzie i zdrowie dzieci. Rodzice na ogół nie zdają sobie sprawy, ile złego spotyka dziecko przez wszy. Dziecko zawszone jest nerwowe, często anemiczne, bo wszy wysysają mu krew, prócz tego wszy są często przyczyną wielkiego upokorzenia, jakie dziecko zawszone musi znosić ze strony dzieci czystych, które się go brzydzą. No i jest niebezpieczne dla otoczenia przez możliwość przeniesienia choroby zakaźnej. A przecież sprawa jest tak prosta i łatwa naprawdę. Wystarczy utrzymywać czystość, a więc: często myć głowę, czesać ją gęstym grzebieniem, utrzymywać czysto łóżko i pościel, zmieniać na noc bieliznę. Kto robi tyle, ten na pewno do zawszenia dziecka nie dopuści.

Niestety, dopóki nie odwszy się całej Polski, dotąd nie minie obawa zawszenia się od innych osób mimo przestrzegania czystości. Warto więc zapamiętać, co należy robić w razie zawszenia, zwłaszcza że można dobrą radą dopomóc wielu osobom nie umiejącym się do tego zabrać. A więc o ile wszy są w głowie, należy włosy możliwie krótko obciąć i przez kilka dni dopóki wszy nie wyginą, na noc nacierać mocno: „Sabadyllą", ciepłym octem, balsamem peruwiańskim, albo mieszaniną 1 części oliwy z 3 częściami nafty. Zawiązywać włosy chustką, a rano zmywać głowę gorącą wodą z mydłem i wyczesywać wszy i gnidy gęstym grzebieniem. O ile mamy do czynienia z zawszeniem odzieży, wówczas bieliznę wyprać w gorącej

wodzie z mydłem, spłukać wodą z dodatkiem amoniaku, ubranie dokładnie odprasować gorącym żelazkiem, zmienić słomę w sienniku, spalając starą, a całą skórę natrzeć naftą z oliwą również mieszając 1 część oliwy z 3 częściami nafty. Rano wykąpać się albo umyć dokładnie dobrze ciepłą wodą i mydłem.

To wielkie zadanie, jakim jest walka z zawszeniem wsi i miast spada głównie na kobiety. Przede wszystkim od matki w domu zależy czystość i schludność rodziny. Niechaj wychowując dzieci wpaja im zamiłowanie do czystości i przekonanie, że od nich samych zależy powodzenie akcji podnoszenia kultury i dobrobytu ludności Polski i że jednym z warunków powodzeń armii polskiej w ewentualnej wojnie jest zdrowie i czystość ludności cywilnej, z której armia się wywodzi i z którą się styka.

E. Lidke.

WARTOŚĆ SŁOWA W WYCHOWANIU.

Chyba tylko do szewca przyjdzie ciebie oddać, taki głąb z tego chłopaka!
Takiego tępego dziecka jeszcze nie widziałem.
Na pewno nie dostaniesz promocji.
Musisz być najgłupszy z całej klasy — tak pisać!
Nigdy sobie rady nie dasz w życiu.
Jesteś najgorsze dziecko.
Zakała rodziny.
Takie dziecko to wstyd dla całego domu.
Lepiej, żebyś wcale na świat nie przychodził!
Nic z ciebie nie wyrośnie.
Na zbója wyrośniesz — zobaczysz.
O, on pewno tego nie potrafi — taka niezdara!

Wiele takich i tym podobnych słów mówimy tysiąckrotnie dzieciom w przekonaniu, że odniosą one dodatni rezultat — że zawstydzą dziecko i zachęcą je do pracy nad sobą, że spowodują poprawę.

Tymczasem takie słowa, to wmawianie dziecku, czy wymawianie mu jego niezdolności i braków, takie pogrążanie go w jego własnej opinii — odnoszą niemal zawsze rezultat przeciwny. Osłabiają w dziecku wiarę w jego możliwości i siły, zabijają wiarę w możliwość poprawy: najgłupszy, zbój, zawsze, do końca życia. Jakże walczyć z takim ciężarem grzechu i wad?

„Cóż ja zrobię, kiedy tego Romka to najmniej kocham ze wszystkich swoich dzieci — choć mu tego wcale nie okazuję. On taki jakiś dziwny...” zwierza się matka przyjaciółce i sądzi, że Romek, zajęty zabawą wcale jej słów nie słyszy, a jeżeli nawet słyszy, to nie zrozumie. Gdyby zrozumiał — zapomni. Jeszcze taki mały! Ale Romek i słyszy, i rozumie, i pamięta. A choć z biegiem lat pamięć tych słów znika — zostaje w duszy

osad, zostaje jakaś niewytłumaczona — zdawałoby się — niechęć do matki, zazdrość i złośliwość w stosunku do rodzeństwa, wybujała ambicja, chęć wybicia się ponad braci i kolegów — choćby kosztem sprawiedliwości. Zostaje niewłaściwy stosunek do życia, do ludzi, do siebie.

„To nie mój syn"! — rzuca ojciec w kłótni żonie.

Nie sens słów — bo dziecko może go jeszcze nie pojmuje — ale sposób ich wypowiedzenia i to właśnie ich niezrozumiałe znaczenie wywołują w chłopcu wstrząs, który z wiekiem coraz mocniej bróździ i budzi coraz większą — choć nieuświadomioną — nieufność i niechęć do rodziców.

„Martwię się, że Zosia taka brzydka" — mówi matka do siostry o swej kilkunastoletniej córce.

Dziewczynka, która w sąsiednim pokoju odrabia lekcje — słyszy te słowa. Dotychczas swobodna i śmiała w obcowaniu z ludźmi, wesoła, pogodna — staje się nieśmiała i skryta, unika koleżanek; wywołana do odpowiedzi miesza się, czerwieni, jąka; do gości w domu nie chce wychodzić, chowa się po kątach.

„To zachowanie normalne w wieku dojrzewania" — pociesza się matka Zosi. Pociesza się niezupełnie słusznie. Zosia mogłaby okres dojrzewania przejść bez tej nieśmiałości i „dzikości", a w każdym razie mogłyby one nie przejawiać się u niej w tak ostrej — i tak bolesnej dla dziewczyny — formie, gdyby nieostrożne słowa matki nie uświadomiły jej własnej — może przejściowej — brzydoty.

Mało zdolny a bardzo pracowity chłopiec usłyszał słowa ojca, zwrócone do kolegi biurowego: *„Martwię się bardzo, że mój syn taki tępy. Straciłem nadzieję, żeby mógł skończyć szkołę"*. I chłopak, który dużym wysiłkiem woli osiągał jednak co roku wynik dostateczny — załamuje się. I on traci nadzieję na ukończenie szkoły. Staje motor, który go do pracy popychał.

Niebaczne, niedobre, szkodliwe słowa.

Raz tylko wypowiedziane w nadziei, że dziecko nie usłyszy, nie zrozumie, zapomni.

Verba wolant (słowa ulatują) — mówimy. Ale te nie ulatują. Zostają i wywołują trwały uraz w duszy dziecka.

Bywa i tak, że skąpimy dziecku dobrych słów tam, gdzie mogłyby je podnieść na duchu, uszczęśliwić, poprawić.

Dziecko niezdolne, które widzi, że koledzy i rodzeństwo prześcigają je w nauce, które w szkole otrzymuje złe stopnie, w domu słyszy za to wymówki — po pewnym czasie opuszcza ręce i rezygnuje z walki, w wyniku której spodziewa się tylko przegranej. Parę słów w odpowiedniej chwili wypowiedzianych: *„o, arytmetykę to już zupełnie dobrze rozumiesz"*, *„no, widzisz, dostałeś dobry stopień z wypracowania"*, *„robisz już znacznie mniej błędów"*, *„ten zeszyt jest zupełnie porządny"*, *„widzę, że się starasz"* — parę takich słów może niekiedy wywrzeć zbawienny niemal wpływ na dziecko i podtrzymać je w walce z trudnościami.

„Masz bardzo ładne włosy” — i chłopiec, cierpiący na poczucie własnej brzydoty, wraca powoli do równowagi. Coś się w nim mogło podobać!

Już ci się to coraz rzadziej zdarza, jestem z ciebie zadowolona.

Mimo wszystko przecież wartościowy z ciebie chłopak.

Widzę, że pracujesz nad sobą.

Przypuszczam, że to potrafisz.

Dasz sobie radę w życiu.

Takie słowa i setki innych, byle nie nadużywanych, dobrych słów, mogą się przyczynić do wyrównania w dziecku poczucia niższości, a tym samym uzbroić je do walki z przeciwnościami — i z własnymi brakami.

I. Chmieleńska.

Po naukę czy po dobre oceny?

Podobno wszystkie dzieci uczą się tylko dla dobrych ocen, dla promocji, dla świadectwa. Podobno, bo jakoś nie mogę w to na szczęście uwierzyć. Wierzę natomiast uparcie, że są na świecie uczniowie, którzy doświadczają radości poznania, którzy interesują się bodaj jakimś jednym przedmiotem nauki szkolnej, a jeśli nauczyciel chce i potrafi ich zachęcić, pociągnąć, to coś tam zapadnie i w głowy i w serca.

Gdyby jednak przypuścić, że olbrzymia większość dzieci uczy się tylko dla wyżej wymienionych, czysto utylitarnych celów, to można by to i zrozumieć i nawet usprawiedliwić.

Natomiast staje się rzeczą całkiem niepojętą i niewiarygodną, że — i to niestety często — trafiają się rodzice, dla których dobra ocena jest znacznie ważniejsza, niż wiedza nabyta przez dziecko.

Ten fałszywy stosunek do zagadnienia jest źródłem wielu fałszywych i szkodliwych posunięć.

W tej szkole stawia się surowe oceny, w tej szkole trudno uzyskać świadectwo, szuka się więc szkoły, w której dobrą ocenę zdobyć łatwiej.

Godziny przyjęć wychowawców tak ciche w ciągu okresu i tak często zapominane, ożywiają się gwałtownie przy końcu okresów, wtedy, gdy przychodzą oceny.

Czegoż to dowodzi? To ta ocena interesuje tak ogół, a nie tok pracy dziecka.

Jakże rzadko słyszy się rozmowy rodziców z wychowawcami o tym, jak podtrzymać dziecko w pracy, o pracy samej, a jakże często mówi się o ocenach, a nawet wyprasza się lepszą ocenę, usiłuje się wmówić w nauczyciela, że dziecko umie, wmówić nawet wbrew własnemu przekonaniu. Jaką korzyść osiągnie z takiej rozmowy matki lub ojca z wychowawcą samo dziecko?

A przecież po to są te rozmowy, aby dziecku dały korzyść, aby jemu wyszły na dobre, a nie po to, aby rozgoryczały dom przeciw szkole i wzajemnie.

Czy żadna matka nie ma na sumieniu usprawiedliwienia nieobecności dziecka w szkole w dniu spodziewanej klasówki, lub w dniu, kiedy były zadane jakieś trudniejsze lub gorzej przygotowane lekcje?

Czy żadna matka nie ma na sumieniu pobłażliwości wobec wszelkich nielegalnych sposobów, jakimi uczniowie zdobywają czasem dobre oceny?

Czy w walce o rzetelną i uczciwą pracę dziecka szkoła znajduje zawsze w domu rodzicielskim rozumnego i wiernego sprzymierzeńca?

Po naukę, czy po dobre oceny posyłają rodzice do szkoły swoje dzieci?

Chciałabym, aby na to pytanie szczerze i sumiennie odpowiedziała sobie każda matka i każdy ojciec.

Im szczersza i sumienniejsza będzie ta odpowiedź — tym lepiej dla nich samych i dla ich dzieci.

M. W.

KŁOPOTY WIOSENNE.

Wiosna, maj, bzy, miłe spacery. Ale niejedno młode serce ściska niepokój na myśl o czekającym egzaminie.

Wtórują im serca matczyne. Czy zda? Czy zostanie przyjęte? Jak będzie w tej nowej szkole? Jakiego obcego języka się uczyć?

Po skończonej 6-tej klasie szkoły powszechnej można pójść do gimnazjum. Trzeba złożyć podanie, fotografię, 10 zł itd.

Dowiedzieć się o tym można w każdej szkolnej kancelarii. Są jednak sprawy, o których nie informują, są prawa życiowe nie ogłaszane każdemu. Styka się z nimi człowiek praktycznie i nieraz żałuje, że nie wiedział o niejednym zawczasu, bo inaczej pokierowałby się, inaczej postąpił, lepiej się czuł.

Przykład: dziecko garnie się do książki, nie wiadomo kiedy nauczyło się czytać, serca rodziców rosną.

Po ukończeniu 6 lat próbują oddać je do szkoły, ale okazuje się, że czyta i pisze tak dobrze, że przeszkadzałoby w I kl. Nauczycielka nie chce przyjąć, tylko radzi poduczyć dziecko z innych przedmiotów i oddać za rok do II klasy. Uczy się więc z matką. I dopiero w czasie uczęszczania do II kl. rozpacz i łzy dziecka, które musiało pokonać duże trudności z rysunkami, z robotami ręcznymi — rodzą troskę rodziców: czy nie lepiej było dziecku przejść razem ze wszystkimi I kl. w szkole ?

Później okazuje się, że dziecko źle widzi, ma krótki wzrok. Kto wie, czy w tym wiele nie zawiniło czytanie książek od piątego roku życia?

Matka bagatelizowała sprawę, bo sama w tym czasie zaczęła czytać i nie popsuła sobie wzroku. Ale... nie była wątłym dzieckiem powojennym i chowała się w licznej gromadce rodzeństwa, więc nie miała warunków do dłuższego przesiadywania nad książką. Te rzeczy rozumie dopiero teraz, po przemyśleniu sprawy i po doświadczeniu z własnym dzieckiem. Później dowiaduje się po niewczasie z książki, że „rozpoczynanie nauczania już w roku szóstym lub siódmym uważam za przedwczesne i nawet szkodliwe dla zdrowia, dla normalnego rozwoju organizmu psychofizycznego i systemu nerwowego dziecka" (Wł. Spasowski — „Wyzwolenie człowieka").

Dlaczego nie wiedziała o tym wcześniej? Teraz, kiedy dziecko ma pójść do gimnazjum, mimowoli przypominają się doświadczenia ze szkoły powszechnej i tak chciałoby się porozmawiać z mądrymi rodzicami, którzy już porobili doświadczenia na własnych dzieciach. Może niejedna matka robi właśnie rachunek sumienia po ukończeniu przez dzieci gimnazjum.

Prosimy o podzielenie się wynikami rozmyślań, gdyż chciałybyśmy poznać zawczasu błędy, których można uniknąć, oszczędzając przykrości sobie i dzieciom.

Sprawa wyboru gimnazjum na prowincji odpada często z tej prostej przyczyny, że jest jedno. Jeżeli więc dziecko wykazuje duże zdolności w nauce, można być spokojnym o decyzję. Ale czy to już wszystko?

G. R.

Fałszywa dwudziestka.

— Wyobraź sobie, jakie mam zmartwienie — mówiła przy obiedzie matka do ojca. — Chciałam dziś rozmienić ostatnią dwudziestkę i powiedzieli, że fałszywa!

Było to pod koniec miesiąca.

— To rzeczywiście strata — powiedział zasępiony ojciec. — A gdzież ją dostałaś? — Trzeba zwrócić i powiedzieć, że fałszywa.

— Wiem, od kogo dostałam, ale mi nie wypada, bo to znajomi. I to już kilka dni temu. Żebym odrazu zauważyła! Ale odłożyłam pieniądze i dopiero dziś je wyciągnęłam. A oni może też nie wiedzieli, że fałszywe.

— No, trudno — rzekł pochmurnie tatuś. Idź jeszcze do banku, sprawdź, czy się nie mylisz. Strata jest, bo w naszym budżecie dwadzieścia złotych, to pieniądz. Ale nie możemy przecie innych narażać, jeżeli fałszywe. A ja jutro postaram się o kilka złotych na życie.

Pogderawszy na temat nieostrożności w przyjmowaniu pieniędzy bez dostatecznego sprawdzenia, tatuś westchnął i ułożył się z gazetą na tapczanie. Po obiedzie przyszła ciocia Mela, młodsza siostra mamy. Dziesięcioletnia Basia lubiła ją, bo była wesoła, zawsze coś smacznego przyniosła, dużo się śmiała i opowiadała, co widziała w kinie i teatrze. Mamusia zwierzyła się jej ze swego zmartwienia.

Ciocia Mela zamyśliła się.

— Wiesz co? Daj mnie tę dwudziestkę. Ja ją puszczę! Tylko muszę dostać procent — dodała, śmiejąc się. — Dostaniesz z tego 15 złotych, a pięć wezmę sobie. Przecie i tak uważasz ten pieniądz za stracony.

— Ależ dam ci z przyjemnością, tylko... jakże ty puścisz? Przecie ktoś na tym straci, komu to wsadzisz. I potem — możesz mieć nieprzyjemności, jeżeli ci powiedzą, że to fałszywe pieniądze.

— Jakie nieprzyjemności? Powiem, że nie wiedziałam. A cóż to, czy obowiązana jestem tak znać się na pieniądzach? One wyglądają wcale nieźle. A co do straty... Dlaczego właśnie ty masz tracić? Czy jesteś taka bogata? A tamten ktoś puści dalej i nikt nie straci!

Mamusia zamyśliła się. Wtem wzrok jej padł na Basię, która siedziała w kąciku i wsłuchiwała się w rozmowę z szeroko otwartymi oczyma.

— Basiu, tyle razy ci mówiłam, żebyś nie przysłuchiwała się tak rozmowie starszych! — zawołała ostro. Marsz do odrabiania lekcyj!

Basia wstała pokornie, ale odrabianie lekcji jakoś nie szło. Dziecinny umysł męczyło zagadnienie, kto ma rację. Przecie tatuś zawsze oburzał się na fałszerstwo, raz pokazał jej fałszywe dziesięć złotych i potem zaniósł na pocztę, żeby je przełamali i żeby nikt już nie mógł „wpaść", jak mówił. A teraz mamusia zgadza się na taką kombinację, przeciw której buntuje się sumienie Basi. A przecie mamusia powinna mieć zawsze rację i zawsze robić dobrze. I do serca dziecka wkrada się okropne uczucie: wstyd za matkę.

Na drugi dzień ciocia Mela wpadła znowu po biurze, promieniejąca i roześmiana. Mrugnęła porozumiewawczo do mamusi i pociągnęła ją za rękę do kuchni. Basia wiedziała, że podsłuchiwać to bardzo przykro, ale tym razem nie mogła się powstrzymać. Sprawa zbyt ją interesowała, aby mogła nie dowiedzieć się jej zakończenia.

— No i co? — zapytała niespokojnie mamusia.

— Widzisz? Mam nowy szalik!

— Udało ci się puścić dwudziestkę?

— No, miałam z tym trochę kłopotu! Nie chciałam w znajomym sklepie, bo mogliby mi po paru dniach zwrócić i ładniebym wyglądała! Więc poszłam do małego sklepu w zupełnie innej dzielnicy, gdzie rzadko bywam. Zobaczyłam na wystawie wcale ładny szalik, o, ten. Taka sympatyczna starsza pani tam siedziała, zdaje się, nie bardzo dobrze znała się na pieniądzach, jak to starsze. Chciała siedem złotych za szalik, wytargowałam za pięć, mówi, że nic na tym nie zarobiła, ale tak jej pieniądze potrzebne. Rzeczywiście, wyskrobała ostatnie z kasy. No, i udało się! Podziękuj mi.

— Dziękuję — powiedziała cicho mamusia. Ale nie było radości w jej głosie.

A Basię wstyd ogarnia palącą falą. Wyobraża sobie, jak ta biedna starsza pani, która tak potrzebuje pieniędzy i tak tanio oddała szalik, będzie chciała zapłacić coś tym banknotem i dowie się, że jest fałszywy. A innych pieniędzy może nie ma! Co sobie pomyśli? Co zrobi?

Długo nie mogła zasnąć Basia tego wieczoru. Przewracała się na łóżeczku. aż zaniepokojona mamusia stanęła nad nią.

— Co ci jest, Basiu? Pokaż puls, czy nie masz gorączki?

Basia usiadła na łóżeczku.

— Mamusiu, nie gniewaj się na mnie, ale muszę coś powiedzieć. Widzisz, mamusiu, ja słyszałam wszystko... Tak, podsłuchiwałam, ale nie gniewaj się! Mnie tak strasznie żal tej starszej pani ze sklepu... Mamusiu, spytaj się cioci Meli, gdzie to było i pójdziemy po pierwszym, oddamy jej te dwadzieścia złotych! Wiesz, ja wolę nie mieć nowej sukienki, nie jeść słodyczy, no i jeszcze coś... już nie wiem co... Ale bardzo proszę cię, mamusiu, pójdziemy tam, dobrze?

Mamusia odwróciła głowę.

— Dobrze, córeczko — powiedziała cicho. *H. Pieczarkowska.*

Jak pracują i jak się uczą dzieci w szkole powszechnej Nr. 123 (Solec 22) w Warszawie.

Kto widział kiedy, co się dzieje w szkole powszechnej rano przed dzwonkiem, albo na pauzie? Gwałt, krzyk, bieganina, potrącanie się, krzykliwe i nieraz brutalne zabawy na korytarzu, często i bójki, oto codziennie spotykany obraz.

Otóż gdy przed ósmą przybyłam do szkoły Nr. 123 przy ul. Solec, zostałam obraz niezwykły. Na olbrzymiej sali - korytarzu, biegnącej wzdłuż wszystkich klas, przy stolikach do gier zastałam grupki chłopców, bardzo przejętych zabawą, grupki przechadzających się i rozmawiających dziewczynek, grupkę, przyglądającą się „wystawom" różnych okolicznościowych arcydzieł szkolnych, nigdzie krzyków, kłótni, bijatyk. Nastrój miły, swobodny, ani śladu jakiegoś lęku, czy przymusu.

Te dzieci ubogiego Powiśla dobrze się czują w swoich „salonach".

Otoczenie wywarło na nie swój wpływ zbawienny. Starają się dostosowac do niego.

Nawet kiedy zabrzmiał dzwonek i rzucono się ku klasom, działo się to jakoś

składnie i swobodnie, bez niepotrzebnego tłoku, bez poszturchiwania się. Prawdziwie „dobrze wychowane" dzieci.

Przed lekcjami cała szkoła gromadzi się na sali rekreacyjnej, na wspólną modlitwę i śpiew, na wspólne wysłuchanie i omówienie pogadanki radiowej.

Gospodarze klas ustawili się przed swoimi klasami, śpiewami dyryguje, z doskonałym poczuciem rytmu i melodii, nieduża, może dwunastoletnia dziewczynka. Zbiorową pogawędkę organizują samorządy klasowe.

W dniu, kiedy byłam w szkole, wypadła pogadanka o Pożyczce Obrony Przeciwlotniczej.

Jeden z uczniów klasy siódmej zwięźle podał jej treść. Koledzy i koleżanki uzupełniali opuszczone w tym streszczeniu punkty, po czym każda z klas opowiadała, co zrobiła dla zbiórki na Pożyczkę. Wzruszająco wypadły te wysiłki dzieci, które chętnie wyrzekają się wymarzonej wycieczki, wysilają swoje główiny, byleby jakiś dodatkowy dochód wymyślić, zbierają znaczki, butelki, żelastwo, byleby tylko uzyskać jak najwięcej groszy na nasze samoloty.

Widziałam lekcję w klasie najmłodszej. Na wielkiej tablicy, zajmującej całą szerokość ściany, wyrysowała „pani" grupkę dzieci. Jedno trzyma bukiet, jedno paczuszkę, inne laurkę.

Dzieci mają zgadywać, co przedstawia obrazek. Po różnych próbach ustalają, że to są niespodzianki na „święto mamusi". Zliczają dni, które je dzielą od tego święta, obmyślają, co każde przygotuje na ten dzień.

Wreszcie „pani" proponuje, żeby z każdej grupy zgłosił się ktoś na ochotnika i napisał przy tablicy coś o swojej mamusi.

Grupy siedzą dokoła okrągłych stolików, po pięcioro dzieci przy każdym. Zgłaszają się ochotnicy. Każde wie, jaki jest numer jego grupy i staje przy odcinku tablicy, opatrzonym tym numerem. Bo oprócz tablicy nauczycielskiej, w niższych klasach wzdłuż dwóch ścian biegną tablice dla dzieci, umożliwiające wszystkim grupom pracę równoczesną. Dzieci piszą, wcale szybko i ładnie, i z wielkim przejęciem.

Z tych zdań dziecięcych powstaje długa litania, którą potem odczytuje cała klasa. Litania o mamusi:

„Moja mamusia jest kochana, moja mamusia lubi mnie, moja mamusia jest wysoka, moja mamusia nazywa się Jadzia, moja mamusia jest najlepsza" i tak dalej.

Później dzieci odczytują wierszyk o matce, wypisany przez „panią" na tablicy.

Uwaga całej klasy zajęta jest bez przerwy. Wszystkie dzieci biorą udział w lekcji. Nikt się nie nudzi, nikt nie ma czasu na figle i na przeszkadzanie innym.

Podobną lekcję widziałam i w klasie siódmej. Była poświęcona sprawie wyboru zawodu. Każdy stolik dostał od nauczyciela egzemplarz informatora Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Zawodowych i wyszukiwał, jakie szkoły zawodowe i ogólnokształcące może mieć do wyboru po ukończeniu szkoły powszechnej. Zastanawiali się, jaki zawód każdy i każda chce obrać.

Okazało się, że ktoś nie przygotował poprzedniej lekcji. Przewodnik grupy (bo każdy stolik ma swego przewodnika) ma dzienniczek, gdzie zapisuje plusy albo minusy za przygotowanie lekcyj. Już jego rzecz postarać się, żeby kolega nauczył się na raz następny, żeby grupa pomogła koledze, który ma trudności, czy zaległości.

Przy takim systemie pracy odpada wielka bolączka szkolna: kwestia ściągania i podpowiadania. Kto czego nie wie, może zajrzeć do słownika czy do encyklopedii, bo każda klasa ma takie książki. O to chodzi, żeby się dzieci nauczyły same zdobywać wiedzę i żeby sobie w tym nawzajem pomagały.

Taki sposób uczenia się przygotowuje dzieci do zgodnego współżycia, do koleżeńskiej solidarności, a pomaga im również do tego samorząd, istniejący w każdej klasie.

Samorząd klasowy czuwa nad utrzymaniem czystości w sali klasowej i czuwa skutecznie, bo podziwiać trzeba jak świeżo wyglądają te śliczne stoliki i krzesełka z jasnego drzewa, przy których pracują dzieci. Samorząd czuwa nad wietrzeniem klasy, nad czystością ubrań dzieci, opiekuje się kwiatami, których jest w szkole tak dużo, i które tak bardzo przyczyniają się do jej pięknego wyglądu.

Ponadto samorząd organizuje pomoc dla kolegów słabszych w nauce, oddziałuje moralnie na kolegów trudniejszych, walcząc z kłamstwem, lenistwem, wagarowaniem i złym postępowaniem.

Dużo jeszcze innych czynności spełnia samorząd, podkreślamy tu niektóre, żeby dać obraz jego pracy.

W poprzednim numerze wspomnieliśmy, że całe te piękne urządzenia szkolne są nabyte za szkolne składki rodzicielskie. Nic dziwnego, że rodzice chętnie je wpłacają, kiedy widzą tak świetne wyniki swoich wysiłków, kiedy widzą, że ich dziecko staje się lepsze, zgodniejsze, rozumniejsze i wiedzą, że w swojej szkole czuje się szczeęśliwe.

Podziw wzbudza również nadzwyczaj schludny wygląd dzieci. A przecież rodzice należą do warstwy uboższej. Otóż zostaje to osiągnięte prostymi środkami. W szkole obowiązuje czarny fartuch i biały kołnierzyk. Kogo nie stać na ich kupno, temu Opieka Rodzicielska ofiarowuje, lub wypożycza ten ubiór szkolny, żeby żadne dziecko nie odróżniało się od kolegów i dobrze się czuło w gromadzie.

To są, zdawałoby się, drobiazgi, ale te drobiazgi mają swoje znaczenie wychowawcze i wiele znaczą w ogólnej atmosferze szkoły.

Inny z takich drobiazgów: ponieważ zbieranie wszelkich składek (na Opiekę Rodzicielską, pomoce naukowe itp.) przez nauczycieli źle wpływa na serdeczny stosunek wychowawczy do dziecka, tymi sprawami zajmuje się opieka szkolna, za pośrednictwem kancelarii.

Tak więc każdy szczegół życia zbiorowego jest tu przemyślany, a wszystko zmierza do tego, żeby stworzyć dziecku takie warunki nauki i zabawy, żeby w szkole czuło się dobrze, żeby uczyło się pracować i w s p ó ł p r a c o w a ć.

J. B.

BŁĘDY WYCHOWAWCZE.

(według książki Hildegard Hetzer pod powyższym tytułem).

Józio ma 12 lat. Rodzice jakoś nigdy nie mogą dojść do zgody co do tego, jak z nim postępować.

Matkę chowano bardzo surowo. Uważa, że chłopca trzeba krótko trzymać, wymagać od niego bezwzględnego posłuszeństwa, karać za każde drobne wykroczenie.

Ojciec jest innego zdania. Uważa, że więcej można zrobić łagodnością. Ma niewątpliwie rację, ale swoje poglądy wypowiada bez skrępowania przed chłopcem, występuje w jego obronie wobec matki w sposób ostry.

Kiedy jednak Józio coś przeskrobie, o co ojciec się specjalnie gniewa, matka występuje w obronie chłopca, na złość ojcu, żeby mu pokazać, że ona bardziej dba o syna.

„Wie pani", oświadczył kiedyś Józio nauczycielce, „to bardzo dobrze,

kiedy się ojciec z mamą kłócą o mnie. Ja wtedy robię, co mi się podoba".

Czteroletni Henio słyszał nieraz, jak matka narzeka, że musi ciężki węgiel dźwigać z piwnicy.

Któregoś dnia podreptał za matką, i zanim się obejrzała, nabrał węgla do swego małego wiaderka i jeszcze do fartuszka.

„Patrz, mamusiu, oświadczył, „i ja też niosę węgiel, będzie ci lżej". „Co robisz, głuptasie!" ofuknęła go matka. „Ładna mi pomoc. Teraz będę musiała znowu prać twój fartuszek".

Henio zapłakał. Chciał matce sprawić radość, chciał jej być pomocny i tak mu podziękowano!

„Przypominam sobie zupełnie dokładnie wypadek, który się zdarzył u nas w domu i szczególnie głęboko mną wstrząsnął, chociaż miałam dopiero lat 5, tak że mam go dziś jeszcze żywo przed oczyma. Moja o rok młodsza siostra lubiła bardzo zieloną wstążkę, której używałam jako kokardy dla lalki i która prawnie należała do mnie.

Któregoś dnia ściągnęła mi ją, gdy nikt nie widział. Na mój okrzyk oburzenia przybiegła matka. Może miała mało czasu, żeby wnikać w nasze spory, dość, że zrozumiała całą rzecz fałszywie. W każdym razie orzekła, że siostra może zatrzymać moją wstążkę.

Pamiętam doskonale, że oniemiałam po tym wyroku i że w tej chwili z całego serca nienawidziłam swoją siostrę. Myślę, że ona sama w swym szczęściu zdumiona była krzywdzącą decyzją mamy". *B.*

„CO NOWEGO W SZKOLE..."

Ledwo Tadzik wszedł do pokoju, już go matka zaczepiła ulubionym pytaniem: „Co tam nowego było w szkole?"

A Tadzik: — Jurek Ś. Janka B. tak uderzył w brzuch, że aż się popłakał. A Zosia musiała stać w kącie, bo szturchnęła Basię; Helcię nasz pan pochwalił, chociaż prawie nic nie umiała; dostała nawet obrazek. Na Bolesia J. tak pan krzyczał, że wszyscy się bali, bo Boleś powiedział „brzydkie słowo" na Józia. —

Trochę inaczej zdał relacje w swoim domu Jurek, Józio, Boleś i inni. Po dwóch godzinach cała wioska, miasteczko, dzielnica wielkiego miasta wiedziała: „co się dzieje w szkole?"

Matki były zadowolone. Nie potrzebowały przecież być w szkole, aby wiedzieć „dokładnie" co się tam dzieje.... Niektóre nawet już bezsprzecznie stwierdzić mogły, że nauczyciel ich dzieci nienawidzi, prześladuje i tylko dlatego nie dostaną dobrych świadectw i promocji.

Kto tu winien? Dzieci narobiły plotek? Nakłamały? Może macie i rację, kiedy utrzymujecie, że wasze dzieci nie kłamią. One nie kłamią; mieszają tylko prawdę z fantazją i mówią dużo, podkreślając bezwiednie, a czasem i umyślnie momenty najbardziej sensacyjne, bo czują, że niektóre matki lubią właśnie... plotki.

A łatwo złemu zaradzić zmieniając nieco pytanie „Co nowego dziś w szkole?" na pytania wprawdzie również pełne zainteresowania, ale zarazem i zrozumienia: „Co robiłeś dziś w szkole? Czego się uczyłeś? Czego masz jeszcze nauczyć się w domu?"

Pytania troskliwe, życzliwe dla dziecka i dla szkoły, pytania, które oprócz zaspokojenia naszej ciekawości dadzą coś o wiele cenniejszego, bo zbliżą nas do dziecka, do jego pracy, zacieśnią serdeczny stosunek między nim a nami.

Jan Szelejewski.

W miesiącach lipcu i sierpniu oba czasopisma nie wychodzą. W naszych wydawnictwach uwzględniamy rok kalendarzowy (nie szkolny).

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza.

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Zakł. Graf. „Drukprasa" Sp. z o. o. N.-Świat 54, tel. 615-56